

Historie z paragrafem

Agent oskarża

Ewa Kopcik

Sacichymi autorami wielu policyjnych sukcesów, ale bywają też sprawcami dotkliwych porażek. Czasem wystarczy jedno ich słowo i policjant jest na przegranej pozycji.

Wszystkie policje świata bazują na informacjach swoich agentów. To oni stanowią siłę policji – niezależnie od systemu politycznego. W PRL-u siłą MO byli TW, czyli tajni współpracownicy. Dzisiejsza policja ma POZI – poufne osobowe źródła informacji. Szacuje się, że ok. 95 proc. z nich to przestępcy. Układ jest prosty: agent coś daje i coś bierze. Za swoją wiedzę o przestępstwach kompanów zazwyczaj chce przymykać oczu na własne sprawy. Układ się burzy, gdy coś idzie nie tak. Wtedy padają oskarżenia.

Przed miesiącem gliwicki Sąd Okręgowy przyznał milion złotych odszkodowania dwóm policjantom z wydziałów do walki z przestępczością gospodarczą z Poznania i Leszna. Obydwaj byli podejrzani o korupcję, spędzili w areszcie po kilka miesięcy. Według prokuratury, za sówite łapówki mieli zapewniać nietykalność śląskiemu biznesmenowi zamieszkanemu w aferę paliwową. To właśnie on ich obciążył, dzięki czemu sam szybko opuścił areszt. Po dwóch latach od postawienia zarzutów policjantom, sąd orzekł „niewinni”. I podkreślił, że na podstawie dowodów, jakie zgromadzono w tym śledztwie, można praktycznie oskarżyć każdego...

Takich przypadków w ostatnich latach było niemało. Na początku tego roku lubelski Sąd Apelacyjny przyznał 400 tys. zł zadośćuczynienia Władysławowi Szczeklikowi, byłemu komendantowi policji w Białej Podlaskiej, który również był oskarżony o przyjmowanie łapówek od przestępcy. Jego sąd także uniewinnił.

Najgłośniejszą w Polsce policyjną ofiarą pracy z POZI jest Piotr Wróbel – który w połowie lat 90. jako oficer wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną Komendy Stołecznej Policji zwerbował na policyjnego agenta Jarosława S., ps. Masa, późniejszego świadka koronnego. Przez kilka następnych lat utrzymywali ze sobą kontakt, spotykali się potajemnie i Masa przekazywał policjantowi informacje o działalności grupy przestępczej. Za jego sprawą zapadły m.in. wyroki skazujące w procesie grupy Rympałka. Paradoks polega na tym, że później stał się ofiarą Masy – pomówiony przez swojego agenta, że domagał się od niego łapówki w wysokości 10 tys. dol., został wyrzucony z policji i aresztowany. W celi spędził siedem miesięcy i do-

piero w czerwcu ub. roku, po 10 latach od postawienia zarzutów, został uniewinniony.

Wpadki z informatorami z reguły są tak samo tajne jak sama współpraca z nimi. Wychodzą na jaw tylko nieliczne. W latach 90. głośno było w Krakowie o policyjnej współpracy z samochodowymi złodziejami. Wszystko zaczęło się, gdy jeden z nich, będący równocześnie policyjnym agentem, trafił na kilka miesięcy za kraty. Wkrótce potem krakowska prokuratura wyłączyła do odrębnego prowadzenia tzw. korupcyjny wątek policyjny i za dwójką funkcjonariuszy z komendy przy ul. Królewskiej rozesała listy gończe. M.in. za aspirantem Pawłem L. Było to o tyle dziwne, że akurat w tym czasie przebywał w resortowym sanatorium w Cieplicach, a więc jego miejsce pobytu było dokładnie znane przełożonym. Po widowiskowym zatrzymaniu i zakuciu w kajdanki przewieziono go do prokuratury, a następnie osadzono na „Mon-

te”. Spędził tam ponad 5 miesięcy. W tym czasie wyrzucono go z policji.

W akcie oskarżenia była mowa o przekroczeniu uprawnień ze szkodą dla dobra społecznego, poświadczenia nieprawdy oraz przyjęcia 200 zł łapówki. Jeden z zarzutów wiązał się z informacją, którą aspirant L. dostał od swego informatora: „W hurtowni przy ul. Pana Tadeusza szykuje się duża transakcja kradzionej czekolady”. Pojechał na miejsce. Odegrał rolę ochroniarza właściciela hurtowni, przysłuchując się rozmowie. Informacja o trefnym towarze nie potwierdziła się, ale prokurator uznał, że policjant przekroczył uprawnień. Sąd był całkowicie innego zdania. „Postępowanie policjanta było właściwe i nie może on odpowiadać tylko za to, że informacja o nielegalnej transakcji okazała się fałszywa” – uzasadniał po zakończeniu procesu.

Pozostałe zarzuty też się nie utrzymały. Po kilku la-

tach L. został prawomocnie uniewinniony. Wygrał, ale czuł się przegrany. Zszargano mu opinię. Rozpadła mu się rodzina. Nie wrócił już do policji, chociaż formalnie miał prawo ubiegać się o przywrócenie do służby. Komenda wypłaciła mu jedynie odszkodowanie za bezpodstawne dyscyplinarne zwolnienie. Składały się nań wynagrodzenia, które aspirant L. mógłby uzyskać w ciągu ponad 2 lat – w okresie, gdy trwałoby postępowanie przeciwko niemu.

Policja to świat hermetyczny, poukładany, rządzący się własnymi prawami. Podobnie jak półświatki. Lawirowanie w tych krętych korytarzach jest niełatwe, można się łatwo pogubić. Jak dotąd, policja nie wypracowała jednak żadnego skutecznego systemu chroniącego własnych funkcjonariuszy przed pomówieniami gangsterów. Dzięki temu przestępcy z łatwością mogą eliminować tych, którzy zbyt mocno nacisnęli im odcisk.

AFRYKAŃSKI DLA POCZĄTKUJĄCYCH

Jakub Ciećkiewicz

Republika mędrców

Do Timbaktu prowadzi szutrowa, wyboista droga. Wokoło wiruje pustynna żółć i pastelowa zieleniakacji. Powietrze jest suche, twarde, przesycone piaskiem, podbite ostrym słońcem, które wypala wokół przedmiotów mocne, czarne kontury.

Sahara! Oficjalne portale ostrzegają, żeby tu nie jechać. Na stronach internetowych francuskiego MSZ-u. zawieszono dwukolorową mapę Mali. Teren rozciągający się wzdłuż Nigru, na północy, oznakowano barwą pomarańczową – można go przemierzać tylko w grupach zorganizowanych. Pustynię pomalowano na czerwono, bo kontroluje ją Al-Kaida.

Tak tu jest już od lat. Islamscy terroryści, kombatanicy krwawej wojny domowej w Algierii, którzy odrzucili propozycję amnestii z 1999 roku, zadomowili się ostatecznie na pustyni. Zamieszkali w małych, trudnodostępnych oazach. Pożenili z dziewczętami z mauryjskiego plemienia Berabiszów, weszli w klany i przejęli władzę na Saharze.

Wkrótce zaczęli ubezpieczać konwoje na słynnym szlaku kokainowym: z Ameryki Południowej – przez Senegal – Mauretanię

– Mali – Niger – do Egiptu i do Europy. Zaczęli porywać dla okupu zagranicznych turystów. Organizować zbrojne wypadki do Maroka, Algierii, Tunezji... Jeśli gdziekolwiek na Sahelu zobaczycie nowe, wypasione terenówki, a wewnątrz uzbrojonych facetów w kolorowych tunikach, wiedźcie, że spotkaliście konwój Al-Kaidy.

Wzdłuż drogi ciągną się wyryte w piasku ślady manewrujących samochodów. Rozklekotany bus wskakuje rytmicznie w koleiny i po chwili znów wraca na szosę. Zmęczeni, podskakujący na wybojach pasażerowie, mają twarze obwiązane zawojami. Małymi łkami pociągają wodę z plastikowych fiaszek. Przecierają słoneczne okulary.

Timbaktu! Gliniane domki, piaszczyste uliczki, sennie osiołki, obciążone towarami codziennego użytku, rozbrykane, czarne dzieciaki, wyciągające dłonie po cukierki... No i wszystko.

Wokoło nie ma złotych ulic, wielkich, białych pałaców, lśniących iglic, przecinających błękit nieba. Jakże inaczej niż w relacjach Leona Afrykańskiego z 1512 roku albo w liście sułtana al-Mansura, który kilka lat później pisał do przyjaciół: „Trzeba wam wiedzieć, na dowód bogactwa tego kraju, że przecina go rajska rzeka, rezerwuar miłosierdzia bożego. Jej wody płyną przez ogród i pozwalają rosnąć w obfitości owocom i zbożom... Ten kraj jest cudem, jakie istnieją tylko w snach”.

Niestety, w ciągu wieków Niger się po prostu cofnął.

Tuareski chłopak prowadzi Wędrowca do studni, która dała początek mitycznej osadzie. Cała konstrukcja to dwa skrzyżowane drągi, skórzany worek wiszący na rzemieniu i niewielki otwór w ziemi. Tysiąc lat temu Błękitni

Jeźdźcy, wędrujący po sól do Te-gazy, zostawili tu swoje kobiety. Najstarsza nazywała się „Buktu”. Słowo „tim” oznaczało studnię. Timbaktu zaczęło się więc od małej dziury wykopanej w ziemi. Dziury leżącej w doskonałym miejscu.

Już w XIII wieku wszystkie karawany z północy: z Marrakeszu, Kairuanu, Kairu, Trypolisu – po przebyciu bezdroży Sahary – zajeżdżały do dwóch nadrzecznych portów mitycznego miasta. Stąd, w głąb Afryki, do Gao i Dżenne, płynęły: sól, broń, konie, jedwabie i książki. Łodzie wracały pełne złota, niewolników i kości słoniowej. Handel przynosił niewyobrażalne zyski. Miasto wypełnili arabscy, berberscy i songhajscy kupcy – ludzie bogaci, wykształceni, oświeceni i... piśmienni!

Tuareski przewodnik prowadzi turystów do słynnego meczetu Dżinguereber, który ufundował w 1235 roku wracający z pielgrzymki do Mekki król Mali – Mansa Musa. Jak mówi legenda, władcy zostało po wyprawie kilka worków złota, zatrudnił więc nadwornego architekta do budowy świątyni i wielkiego pałacu. W drugiej połowie XIV wieku wzniesiono słynny meczet Sankore, zwany Uniwersytetem, a w 1440 roku świątynię Sidi Yahia... Potęga Timbaktu, zbudowana na złocie, tkwiła jednak przede wszystkim w księgach. I w uczonych.

Pan Kati w kremowej, paradnej tunice, z wielką uprzejmością pokazuje gościom swoją bibliotekę. Najpierw kurs matematyki z XVI wieku, który spisano na tu-tejszej uczelni. (Według francuskich naukowców poziom wykładów odpowiada drugiemu rokowi współczesnych studiów uniwersyteckich!). Po chwili na stół trafiają ilustrowane tablice astrolo-



Afrykański Arystoteles – Ahmed Baba i jego dzieło



giczne z XV wieku, dzieło geograficzne, traktat o polityce, manuskrypty filozoficzne, prace teologiczne, rozważania socjologiczne... Niektóre dzieła mają wprawione w stronicę lśniące płatki złota. Cały księgozbiór liczy 8 tysięcy woluminów.

Czym było średniowieczne i renesansowe Timbaktu? Republika mędrców, miastem 20 tysięcy uczonych (profesorów i studentów), ludzi światłych, bywałych w świecie, bardzo wszechstronnie wykształconych. Nauka odbywała się tu pod gołym niebem, grupki uczniów, pod kierunkiem mistrzów, studiowały prawo, teologię, historię, etykę, logikę, astrologię, retorykę, gramatykę. Najzdolniejsi jechali na studia do Mekki, Kairu, Fezu i wracali jako ulemowie.

Największym intelektualistą Timbaktu, pochodzącym ze słynnego songhajskiego rodu Akit, był profesor Ahmed Baba. Autor 65 tomów prac naukowych, w tym traktatu o kobietach i o sposobach wybierania dobrego władcy, twórcą wielkiego słownika biograficznego, przedstawiającego sylwetki i dorobek najwybitniejszych uczonych mitycznego miasta.

Skąd o tym wszystkim wiemy? Pan Kati opowiada o najcenniejszych skarbach swego kraju: kronikach spisanych w mitycznym mieście przez stulecia. Słynną „Kronikę Poszukiwacza” pisał od 1519 Mahmud Kati, a kończył jego wnuk Ibn al-Mukhtar (Kati) około 1665. Potem powstały Kronika Sudanu i Tedzkiret en-Nisian... A spisujący dzieje... w większości byli przodkami właściciela biblioteki. Takie historie zdarzają się tylko w Mali!

Co roku, w styczniu, miasto przeżywa kolorowe święto – Festiwal Au Desert – festiwal pustyni. Na Saharę zjeżdżają najwięksi bluesmani Afryki, grają kultowe grupy: Tinariven, Bassekou Kouyate, Salif Keyta, tuareskie feministki z kapeli Tartit i wielu, wielu innych. Widownia nocami śpi na materacach, na pustyni, a za dnia uczestniczy we wspaniałych koncertach. Tak właśnie, w miejsce starej, złotej legendy, powoli powstaje nowa, muzyczna legenda Timbaktu. Przeszkadza jej tylko strach przed Al-Kaidą.

Wędrowiec siedł przez port Korioume. Widział dziewczęta szorujące garnki, sprzedające smażone ryby, gotujące korzenie kassawy. Jedne miały na głowach czapki białe, inne niebiesko-czerwone, jeszcze inne – niebieskie. Każda czapeczka zawierała ważną informację. Jedna mówiła: „szukam pracy”, inna „szukam męża”, trzecia: „jestem wdową na wydaniu”. Afryka to świat pełen znaków i symboli – pomyślał podróżnik – których turysta nigdy nie zrozumie. Zaden z nich przecież nie wie, że w Timbaktu zwykli ludzie przechowują 100 tys. manuskryptów. Uratowali je przed grabieżą Marokańczyków, Tuaregów, Fulanów i Francuzów. Bo księgi są tu najcenniejsze.